

Rozmaitości

DNIA 27. MARCA

N^{er.} 15.

ROKU 1841.

DO C...

*En vain je cache son nom, craignant celui
d'un trître
Comme elle est la plus belle, on va la re-
connaître.*

Florian.

Dłużej czyż mogę milczeć, choć jest Twém ży-
zeniem,

Czyliż wspomnieć o Tobie już jest przekrocze-
niem?

I cóż ja mogę za to, że serce nie z głazu,
Ze nie zna coto pany, nie słucha rozkazu?
Srogością nie ulęczysz, coś wdziękiem zatrula,
A jad tém jest dotkliwszy, im mniej jesteś czuła
Pożegnałaś te strony i śród zabaw szła
Przepędzałaś wesołe chwile karnawału,
Gdy ja związany losów koniecznością srogich,
Lświadkiem być nie mogłem Twoich uciech bło-
gich;

Mnie tylko wolno było w mojej samotności
Tęsknotą dręczyć duszę, marzyć o przeszłości
Pamiętek lubych, szczęściem koić serca żale
I cieszyć się nadzieją, której zводno fale
Ach tak często zdradzają, a jednak niestety
Tak łatwo im ufamy, jak wdziękiem kobiety!
Lecz do kogoż ja mówię? ona mnie nie słucha,
Ach ona mnie już nie zna, dla mych westchnień
głucha,

Obojętnie spogląda na moje męczarnie,
I pewnie serca inne już rani bezkarnie—
Wszak czasu tyle zółtwim przewlekło się kro-
kiem,

A ona — — Czegoż żądam? czyż łaskawcm okiem
Pozwoliła mi kiedy, abym tak zuchwale
Rościł sobie mieć prawo, wynurzać me żale,
Robić jakieś wyrzuty, lub wymagać od niej,
By jej serce nieczułe z mojem było zgodniej...
Jednak za późno siłą zimnego rozsądku
Radzić, gdzie trudno było zaradzić z początku;
Nie pomogło powabom jej stawiać zapory,
Co nie wzrokiem, podbiła sztuką Terpsichory;

Zdaje mi się, że widzę, jak szybkością rzadką
Wszystkie przebiega tony z tą łatwością gładką;
Zda mi się, że ją słyszę — To chóry niebianów!
Czyli to może Kadryl wzięty z Purytanów?
Wyobraźni urokiem, we śnie i na jawie
Czaruje moje zmysły, nim się tylko bawie;
Tak widziałem niedawno, jak jej rączka biała
W gronie wkoło zebraném losy rozdzielala;
Každy pilnie uważał i czekał w obawie
Czém go zmienna fortuna obdarzy łaskawie;
Jedni terna, a drudzy kwinterna trafiali
I ciesząc się wygraną zuowu losy brali—
Ja tam na próżno szczęścia z ręki jej czekałem;
Miałem tylko spokojność, ach i tę przegrałem!

D I D K O.

(Z PODANIA RODZINNEGO.)

PRZEZ
KAZIMIERZA WŁAD. WOJCICKIEGO.*)

I.

Chmurno i wietrzno jak w ostatnich dniach li-
stopada: wiatr pomiał suchym i z-żółkłym li-
ściem: w jedném tylko oknie dworu Starosty je-
szcze jaśniało światło: a to światło było mocniej-
sze, niż zwykle w dnie inne. I nie dziw! Choć
północ, byłato wilija świętego Andrzeja, młoda

*) Wspomnieliśmy już w jednym z przeszłych Nume-
rów naszych »Rozmaitości« o piśmie *Biblioteka War-
szawska*, wychodzącém pod redakcją p. A. J. Sza-
brańskiego. Na poparcie pochwalnego o piśmie
tém zdania naszego i by z niem niejako czytelników
naszych obeznać, wyjmujemy niniejszy artykuł za-
szczytnie znanego autora *Gawęd*, i jeszcze sobie z pi-
sma tego coś kiedys wyjąć zastrzegamy, ubolewając
wszakże, iż dążność naszych »Rozmaitości« nie po-
zwala nam, czerpać z *Biblioteki* artykułów więcej nau-
kowej i poważniejszej treści, w które ona niemało obfi-
tuje. Artykuł niniejszy z drugiego zeszytu wyjęty.

(Przypisek Redakcyi.)

wiec Jadwiga, z panna respektową, jeszcze nie zasnęły ale czuwały. Zegar ścienny uderzył dwunastą, zadrzały obiedwie.

—»Nol jakże będzie panno Starościanko?« rzekła młoda i dorodna Brygida. »Już chwila naznaczona się zbliżyła, już zwiérciadła ustawione, czy mam i świece zapalić?«

Jadwiga drżała, jednak wyrzekła nie ukazując bojaźni:

—»Dobrze Brygisiu, zapal dwie świece, bo.. chcę wiedzieć. Raz już skończymy, a trzeba się wypaść, bo jutro rano wstać nam należy.«

—»O! równo ze świtem! (odrzekła Brygida zapalając świece). Już wszystko gotowe, a kto pierwszy zajrzy? Ja się boję, niech zaczyna panna Starościanka.«

Jadwiga przeżegnała się, i stanęła przed zwiérciadłami, które naprzeciw sobie stały w niewielkiej odległości, a we środku dwie jarzące świece.

—»Ale!« mówi z cicha Brygida: »niech panna Starościanka dobrze rachuje, ażeby w odbi-
tém świetle zwiérciadła naliczyć świece dwadzieścia cztery i każdej rozróżnić światło: bo inaczej nie uda się wróżba.«

—»Raz... dwa... trzy!« i zaczęła po cichu przeliczać, głos jej coraz się przytłumiał: »dwadzieścia« wyrzekła cała drżąca, »trzy! cztery!« W tém krzyknęła przeraźliwie i padła bez przytomności.

Przerażona Brygida więcej odważna obejrzała się w okóło, a nie widząc nikogo, poskoczyła, podniosła Jadwigę, i zaciągnęła na łanapę.

—»Panno Starościanko! panno Jadwigo!« wołała przestraszona jej omgłałością. Zaczyna trzęść, ścisnąć za rękę, wstrząsać: już chciała budzić śpiących we dworze, gdy przecież Jadwiga ciężko odetchnęła.

—»Ach! chwalaż Bogu żyje! Ale cóż panna Starościanka widziała tak straszego?«

Jadwiga poruszyła ręką, ażeby jej nie wspominać o tém, coraz więcej przychodząc do siebie.

—»Brygisiu!« wyrzekła słabym głosem, »zgaś świece, i weź czémprędzej te zwiérciadła. O ma-
łom nie skonała! Boże! jakaż wróżba!«

Brygida tymczasem zestawiła ze stołu zwiérciadła, i położyła skłom do podłogi, zagasiła świece, a lampę nocną w niży ustawiła.

—»O! moja kochana Brygisiu cóżem ja widział! Gdy się to sprawdziło!«—Zakryła oczy drobnymi rączkami, i łez kilka spłynęło po wyblakłém licu. —»Licyłam... za ledwie wyrzekłam dwadzieścia cztery, a tu z po zacięciu wychodzi postać... przypatruję się z trwogą, i poznaję sługę obrzydłego Didka!«

—»Wielki Boże!« wykrzyknęła przerażona Brygida —»niech panna zaraz jutro uprosi starego

jegomości pana Starosty, żeby tę maskarę wypędził ze dworu. On zawsze mnie straszy swojemi błyszcząciami oczyma, i tą pasłudną twarzą: zdaje mi się, że diabła a nie człowieka widzę, kiedy nań spojrzę. —Ale niech się panna Starościanka położy, to przywidzenie: gdzieżby chłop taki! Ot! zwyczajnie! ta twarz obrzydła była pannie na myśli: teraz się to przypomniało, i zaniast młodego Chorążycza zdalo się, że Starościanka widzi tego Didka.«

—»Może!« odrzekła smętnie Jadwiga: »prawda, że cała postać była Chorążycza, ale ten ubior, oblicze szkaradne i bandurka.«

—»Wszystko przywidzenie; ot idźmy spać, jutro rano pewnie nam się lepiej uda wróżba.«

Odprowadziła do łóżka Jadwigę, sama się położyła i wkrótce usnęła, ale Starościance ciągle we śnie przyświecały te dwie oczy błyszczące ogniem pochodni: a z pomiędzy nich wychylała się ustawnie obrzydła twarz kozaka, wykrzywiona uśmiechem szyderskim.

2.

Nazajutrz dzień świętego Audrzejego Apostoła, a patrona pana Starosty. Od świtania wszyscy dworzanie i czeladź kręcili się jak frygi, zajęci dniem uroczystym, i spodziewanym natłokiem gości i sąsiadów. Jadwiga strudzona spała dłużej z Brygidą, zerwała się jednak dosyć wczesnie, aby złożyć kochanemu ojcu powinszowanie, i pas bogaty, który własną ręką haftowała. Uradowany starzec pocałował w czoło swoje jedynaczkę, bładość jej lica przypisując niewyspaniu i pracy nad pięknym pasem.

Okóło jedynastej rano poczęli zjeżdżać goście do dworu Starosty. Pani Starościana z córką wystrojone, otoczone kilka pannami respektowemi, przyjmowały gości, na sali; sam gospodarz stojąc na ganku nie sprawdzał dawniej przypowieści polskiej:

»*Kiedy gospodarz na ganku, mało gości doma*« bo uprzejmość i gościnność nakazywały mu podawać rękę wysiadającym damom.

Drzwi sali rozwarły się na siężaj — oczy Starościny, Jadwigi, Brygidy i panien obróciły się w tę stronę. Najprzód Starościanka ujrzała kozaka Didka, który roztworzywszy podwoje stanął przy nich, i błyszczące oczy wlepił w ich oblicze. Zadrzała — zbladła, za ledwie mogła na drżących utrzymać się nogach. Wsparta ją Brygida, i obiedwie już nie widziały wchodzących pań i gości: bo im zamroczyły wzrok te oczy jaskrawe, przerażające kozaka, które zuchwale jak na straży stały wlepione w oblicze Jadwigi.

Sala wkrótce napełniła się gośćmi — znikł Dido, a gwar i śmiechy wesołej drużyny, orzeźwiły Jadwigę. — Starosta dał znak, że czas obiad zastawiać, kiedy młody kapelan otoczony rezydentami domu, staje, a wręczwszy powinszowanie panegiryczne, w te słowa grzmiącym odezwał się głosem.

— »Jaśnie wielmożny Starosto! Rozsądkiem dalekie okoliczności przenikającym Harpokratesic: roztropnością w decyzjach wątpliwego sądu Tullijusza, ostrym rozumem na węzły najtrudniejsze Aleksandrzel Oto, niechże mi się znowu godzi, złożyć w dniu tym powinszowanie, które aczkolwiek splendoru nie doda, *in Tuis laudibus gloriari*, niech choć twój księżyc mistyczny w klejnocie herbowym wspomni, abym go przynajmniej pokazał światu. Jeżeli na ten panegiryk niskim stylem wyrobiony, wysokie podobieństwo gwiazdy twoje będą, wszystkie jednemu księżycowi twojemu służyć zechcą. Mają od dobroczynnego księżycy twego światło, mają pogodny dzień i tu zgodny. Zginie na sądzie Boskim słońce, zmieni się i księżyc planetny: Twój herbowy księżyc jak świeci, tak *cum primae magnitudinis Stellis in perpetuas aeternitates* świecić będzie.« *Dixi*.*)

Skończył, a wszyscy obecni poklask rzesisty dali dziwiąc się, jak zręczny mówca, w krótkich wyrazach tyle użył bogatych porównań, i tak pięknie wspomniął herb Starosty, w którym były księżyc i dwie gwiazdy. Niektórzy żalowali, że strzają nie wspomniął, i hełmu z piórkami nad herbem zwyczajnego. Starosta rozrzewniony, uściśkał kapelana i płaczących z rozczulenia rezydentów swoich, i hojnie nagodził mowcę.

Kiedy pan Choraży wychwalał mowę — Starosta smutnie odrzekł:

— »Prawdać, że okrągłemi słowy gładko mój herb wspomniął panegirzysta, — ale nie mam go komu zostawić: mam tylko jedną dziewczkę — a mój syn, Bogu chyba w niebiesiach śpiewa chwagę w chórze aniołków, bo zmarł małą dzieciną.«

I pokręcił wąsy, bo dwie łzy zmoczyły je nieco.

Zaczęto obiad — puhary krążą, i krzeszą do wcip i radość w tém biesiadników kole.

Brzmi wesoła kapela — Staroście znikło z myśli smutne wspomnienie, i rad patrzył na dziecię swoje, które w tej chwili radośnie, rumieńcem oblane, spozierało ukradkiem na dorodnego Chorażyca, co wznosił puhar wiwatowy na cześć Starosty.

*) Dosłownie z Panegiryku »księżyc mistyczny w pełni łaski Bożej zostający«, przez ks. Adryjana Serewicza Minorytę. Lwów 1726 roku.

Trwała uczta do późna, wniesiono świeczniki, a sto świec jarzących rozlało światło do koła. — Rozochoceni goście, na znak dany przez gospodarza, gdy zabrzmiała kapela, stanęli w długim rzędzie do poloneza, i w tańcu poważnym zawiedli kołem; trzeci raz już obchodzili salę, gdy we drzwiach, z wybladłym obliczem, w poszarpanym kontusz, z dobytą szablą, stanął pan Stanisław Jarzębski, krewniak blizki Starosty. — Zatrzymali przerażeni wszyscy taniec — umilkła kapela — cichość zaległa nagle, jakby po uderzeniu piorunu.

— »Co to jest? co to znaczy?« zapytał Starosta.

— »Wszystko złe panie Solenizancie: nie mogłem ci życzyć złożyć wcześniej, bom był w okropnym upale: a przybywam teraz nieco później, ale zawsze dosyć wcześniej: w poszarpanej szacie i krwią złany. Patrzał co na mnie, tom jeno wyniósł całego mienia z dworu własnego.« — I zakrył ręką skrwawioną oczy, dla ukrycia łez gorzkich.

— »Bóg z tobą panie Stanisławie — rzekł Starosta, chwytając go za rękę, i ciągnąc do bliższej komnaty: »pocóżes waszec nastraszył niewiasty.

Jarzębski poszedł za gospodarzem, wszyscy mężczyźni tłoczyli się — niewiasty przerażone drżały.

— »No! cóż takiego waszec spotkało?« pyta Choraży.

A gdy nie odpowiadał, jakby głosu z piersi dobyć nie mógł, posadzono go, i otrzewziono winem.

— »Pięć mil co koń wyskoczy ubiegłem — miłą całą świeciła mi luna z mojego dworu! Hajdamaki ten psi ród więcej miłą sadzili za inną — ale mój bułanek buczackiego rodu, nie da się nikomu wyprzedzić! Złe się dzieje, nadzieja jedyna w Bogu, i szablil

— »Czy jnż są tak blisko?« zapytał Choraży.

— »Za trzy najdalej godziny spodziewani goście« — odrzekł Jarzębski: »widziałem w okóło luno — jakby gorzała puszcza: a cna szlachty ucieka na cztery strony świata.«

— »Panowie bracia« — rzekł po chwili Starosta — »Boga wzywaj a ręki przykładaj: tu widzę nie przelewki, niema co gruszek zasypiać w popiele: trzeba się bronić i to tego bronić. W inoim dworze można się opędzić — grube mury — jest i fosa a w niej wody nie braknie — cztery śniogownice przypomni tym hultajom *mores*.«

Choraży coś cicho prawil swemu synowi, a gdy ten ukląkł i całował sędziwego ojca w kołano — starzec błogosławił go z westchnieniem.

Na sali między niewiastami nie było krzyku, ni płaczu: za przewodem Starościeiny wszystkie

uknęli przed wniesionym obrazem Matki Boskiej: a gdy kapelan stanął przy nim i wznosił do góry mały krzyżyk z relikwią, cząstką krzyża Zbawiciela, wszystkie uderzyły czołem nęcąc chórem:

*»Do Ciebie Panie pokornie wołamy,
Łzy wylévając serdecznie wzdychamy.«*

3.

Didko, ulubiony kozak nadworny Starosty, którego od dzieciństwa wychował, odznaczał się między wszystkimi szkaradą oblicza. Chłop wysoki, barczysty, silny, mógłby powalić niedźwiedzia w kniei: przy tém zreczny i składny. Nikt zgrabniej nie wyskoczył kozaka, nikt więcej nie umiał wesolych pieśni, które składnym głosem przy bandurce nócił. Często też, gdy Starosta był w dobrym humorze, przywoływał Didka, aby mu grał, śpiewał i tańczył. Robięty miały wstąpić do niego, dla tego, że był tak okropnie brzydki: na oliwkowej cerze, gęste dzioby i szramy czarne po zjadliwej ospie zorały mu lica: oczy czarne błyszczące, pełne ognia i namiętności świeciły mu zawsze.

Żywy, wesoly bo młody, pełno go było wszędzie: psoty, jakie dworskim wyrządzał, wzniewały śmiech i zabawę. Od niejakiego przecież czasu osowiął, nie chciał tańczyć składając się chorobą, i często wybiegał z dworu Starosty do bliżkiej puszczy, to ze strzelbą, to i bez niej nawet.

Na krańcu tej puszczy był dóm, który zamieszkiwał gajowy, wysłużony kozak Starosty rodem z Ukrainy. Dawniej rzadko kto zajrzał w to domostwo oosobnione: ale od dni kilku codziennie co wieczór kilkanaście głosów usłyszałeś gwarzących: nrzałeś większy ogień na kominie — sutą ucztę zastawioną na stole — a czasem dochodziło brzmienie bandurki i głos piosnki Didka.

Kiedy trwogą nabawiło gości Starosty przybycie Jarzębskiego, Didko wybiegł do tego domostwa, i długo rozmawiał z kilką hajdamakami i w noc późno dopiero wrócił. Za ledwie pomiął drzewa, co mu dwór Starosty zaciemniały, spojrzysz i stanie zdumiony. W miejsce gwaru wesolego, milczenie zaległo ten dworzec: kagańce rozstawione na walach rozświecały wokoło, a przy nich stoi straż zbrojna. Nad bramą murywaną wywieszono chorągiew herbowną Starosty: przy niej, bo dach był płaski i darniem pokryty, nabita śmigownica a obok stał starzec w rogatówce, z zapalonym lontem. Był to Starosta, pan dworu. Kiedy go ujrzał z-dała Didko i poznał, stanął, i czy go uczucie litości czy

wdzięczności wzruszyło — wyciągnął do niego ręce i długo coś prawił — ale wiatr wiejący od dworu, pędził głos do puszczy. Zwolna podchodził — stanął nareszcie pod bramą.

— »Kto idzie?« krzyknął pan Cześnik stojący najbliżej, i wymierzył strzelbę.

Didko nie odrzekł słowa, a jednym rozpędem skoczył, przesadził szeroką fosę, i stanął obok zdziwionego Cześnika, który na wiatr wystrzelił.

Na odgłos strzału stanęło wszystko pod bronią: sześćdziesiąt szlachty, pięćdziesiąt czeladzi i trzydziestu kozaków nadwornych, którymi dowodził Bajda, Ukrainiec olbrzymiego wzrostu, i siły.

Cześnik porwał Didka za piersi, ten chciał się wyrwać, ale stary szlachcic był żyłastej ręki, zwinął kozakiem, rzucił pod siebie, i nagniotłszy kolanem, dobył z węzówój pochwy augustówki.

— »Smyku mospanie dobrze skaczesz — ale trafił diabeł na pogana, i mieć dał Pan Bóg mospanie odrobinę siły.«

Didko, który za dobrego krzepaką uchodził, odorzony, daremnie chciał się wywinąć, lewa dłoń Cześnika przybiła go do ziemi jak gwóździem.

Na rozruch ten spojrział Starosta z nad bramy, zbiegł co rychlej a poznawszy swego.

— »Puść go wasze panie bracie to mój wychowanek, i mój syn chrzestny.«

— »To mospanie co innego — gdyby nie to, zdusiłbym jak pisklę.«

Didko powstał, odetchnął zmęczony, pobiegł do gromady kozaków, co stała przy samym ganuku, długo z nimi rozmawiając z cicha.

4.

Brzask dzienny rozświecać zaczął pomrokę — niewiasty modliły się w sali gościnnej. Cześnik nabawiwszy rusznicę, dobył rożnca i odmówił modlitwy. Starosta nowy knot zatliwszy drzymał przy śmigownicy. Szlachta co nie stała na czatach smaczno chrapała, czeladz popijała wódkę, kozacy jedni stali w ordynku w milczeniu głębokim, patrząc na skłinienia swego dowódcy. Bajda zapalił lulkę, rzucił burkę na trawnik, legł na niej, i dumał, czy drzéwał: w tém usłyszano wyraźny tętent licznój jazdy, i gwar cichy. Bajda stanął na nogi, zarzucił bundę, zgasił lulkę — obrócił do swoich i rzekł z cicha: »To nasi.«

Pan Chorąży co stał przy śmigownicy naróżnej, pierwszy dojrzał chmarę hajdamaków, przypuścić ich blisko gdy był pewny strażu, dotknął lontem, a od huków działa zadrzał dwór cały.

Rula świszcząc wpadła w szeregi jazdy, jętko kilka głosów, wszakosz szli naprzód.

Tu już ujrzeli wszyscy jak wielka liczba hajdamaków: zaczęto bić ze wszystkich śmigownic, ale choć strzały celne i mordercze były, hajdamacy lecieli na oślep. Kiedy stanęli pod same mi fosami zsiadli z koni, i przygotowane wiązki słomy i faszyny rzucają w fosy. Ustały strzały śmigownic, bo już szkodzić nie mogły: szlachta i czeladź zbiegła w to miejsce, chcąc gęstym ze strzelb ogniem odpędzić, gdy w tej chwili Bajda dał znak, dobył szabli, zarzucił janczarkę na plecy. Kozacy nadworni wydali przeraźliwy okrzyk i z szabłą w ręku rzucili się na szlachtę. Nieszczęśliwi, sądząc, że z tytu dworu dostali się hajdamaki, stracili ducha, słaby stawili opór. Bajda rozwinął bramę — spuścił most, i ćma rozbójników napelnia w mgnieniu oka dwór i dziedziniec cały.

Stary Chorąży pierwszy zginął przy swém dziele, rozsielany od zjadłej zgrai: drzącą ręką dobył korda, a widząc śmierć tak bliską wyrzekłszy: »W Twoje ręce o Panie oddaje duszę moją« odbił pierwsze cięcia i padł pod razami silnej dłoni.

Cześnik widząc, że wszystko stracone, poskoczył i po drabince wbiegł na bramę, kędy przy śmigownicy stał Starosta, wciągnął za sobą drabinę, zamknął drzwiczki małe, zciągnął chorągiew, położył się, wyciągnął i toż samo polecił zrobić Staroście; wtedy rzekł z cicha:

— »Mospanie tu się będziem bronić jeśli nas zobaczą, i zginiem jak na szlachcica przystało: jeżeli się ukryjem, pomścimy się — resztę mospanie zdajmy opiece Boskiej.«

Krótki był opór szlachty i domowników: męźniejsi zginęli z szabłą w ręku, tchórze choć błagali o życie, legli wszyscy — zarumienił się bruk i trawnik od krwi wylanęj, a wschodzące słońce oświeciło stopy trupów, i rozrzuconą broń w nieładzie.

5.

Kiedy Bajda na czele kozaków z dzikim okrzykiem wpadli z nienacka na szlachtę — Didko uzbrojony, z gołą szabłą wpadł do sali, kędy niewiasty drzące jedne leżały krzyżem, drugie trzymały się obrazu świętego. Iskrzącymi oczyma spojrzął, i roztrąciwszy panny respektowe, porwał Jadwigę na ręce. Krzyknęła dziewczica tak przeraźliwie, że wszystkich oczy zwróciła: Brygida uwiesiła się kuzepko u ręki kozaka, ale gdy ten szepnął słów kilka do ucha, pobiegła za lecącym do ogrodu Didkiem. — W ciemnym szpalerze na uboczu, za stawem była jama głęboka: przy węższém łorycie prowadziła do niej

kładka: po niej lotem ptaka przeleciał, wpadł w jamę, złożył na mchu świeżym bezprzytomną Jadwigę, i znów szepcąc na ucho Brygidzie, wybiegł szybko.

Opór szlachty dał mu czas unieść podeszłą Staroście, a gdy powróciwszy — brał za szkatułę, która stała przy łożu Starosty, już z dziką wrzawą do dworu tłoczyła się ćma hajdamaków. Didko przez otwarte okno wyskoczył: chwilę bawił, a krzycząc wraz z drugimi tłoczył się do sali.

Kapelan jak dawniej z wzniesioną relikwiją stał przy obrazie Świętej Dziewicy — a niewiasty jak stado wystraszonych gołębi, padły przy nim na kolana, czekając rychłej śmierci.

Rozjuszona zgraja — krwią zbryzgana rozpoczęła mordy — krzyk boleści był długi. Zamknijmy oczy na ten okropny obraz, niestety! zbyt prawdziwy — gdzie rozbój — wściekłość i rozpusta pastwiły się nad słabymi i nieszczęśliwymi istotami. — Krew zlała obficie podłogę tej biesiadnej sali — wałały się trupy po niej: a ścisnąc w ręku krzyż święty, leżał z głęboką raną w skroni, odważny i cnotliwy kapelan, co aui na chwilę nie pomyślał o własnem ocaleniu.

6.

»Święty! święty! święty! zmiłuj się nad nami!« osłabiony Starosta niewczasem i trwogą z cicha wymawiał: »coż się tam dzieje z moją miłą małżonką, i moją dziewczką?«

— »Mospanie Pan Bóg wielki i opatrny, stanie się Jego święta wola. Waszel mospanie Starosto! siedź cicho, bo diabeł nie spi, a jak nas dojrzą, już po tobie Maćku? a człek ani się spowiadał mospanie.«

— »Patrzta miły sąsiedzie, te psy wściekłe leca na bezbronne niewiasty; Święty! święty! święty! zmiłuj się nad nami.«

I płał rzewnie nieszczęśliwy starzec. Każdy krzyk, który go doleciał z godowniczj sali, budził w nim dreszcz śmiertelny. Zamknął wreszcie oczy i leżał bez czucia. Cześnik okrył go chorągwią, a sam spojrzął na pola, aby odwrócić oczy od mordu. Na każdy jęk pocierał czoło — bił w nie pięścią, załamywał ręce aż trzeszczały stawy: jak człowiek, którego gorejąca żądza zemsty unosi, a przykuty leżeć musi bezczynnie. Już słonko wybiło wysoko, kiedy pod lasem ujrzał tuman.

— »Chmara tych (rzekł do siebie) psów wściekłych coraz większa, a z niskąd pomocy — i rady. Tam piją z krwią wino przy naszym stole, tu ćma nowa potępieńców: trzeba zwalić tę śmigownicę, bo po nią zechcą sięgnąć a razem i po łby nasze.«

I podsadził barki krzepkie, pchnął działa silnie, a śmigownica zwała się w fosę zawaloną faszyna i słomą. Wtedy przypadł jako dawniej i ukrył się dobrze w chwacie na spleśniałym murze rosnącym, wlepiwszy oczy na pola.

Kurzawa coraz zbliżała się — nagle rozwijają się szeregi jeźdźców, a Cześniak radośnie widzi na czele Chorażyca, poznaje szlachtę sąsiedzką i towarzyszków narodowych chorągwi. Staje na nogi — podnosi sztandar, a wiewając woła: »Ratunku! ratunku ginącym.« Zadudniał most spuszczone, dziedziniec napełnia się zbawcami, zeskakują z koni i z szabłą wręku już są na ganuku i już w sali biesiadnej.

Rozbestwiona zgryza zbójców od puharu do jańczarek i szablac migiem stanęła — ale nie była już tak liczna: połowa jej opita we śnie śmierć znalazła. Bajda pierwszy skoczył — skrzesał ognia z młodym chorażycem, i wymierzył mu cięcie śmiertelne, gdy nagle, rzuca się nań Cześniak, i jednem cięciem łeb od kadłuba oddzielił. Krótka była walka, towarzysze i szlachta nie dali wystrzelić: nie długo ani noga hajdamaki nie uszła: wszyscy leżeli jedni trupem, drudzy w powijaki skrupowani.

Bójka i wrzawa ocuciły z otrętwienia Starostę, kiedy wstał na nogi ujrzał Cześniaka jak biegnął z gołą szablą pokrzykując: »Góra nasil! góra nasil!« Zdało się starcowi, że to sen miły, ale gdy ujrzał iż to nie marzenie, utkwiał chorągiew na swoim miejscu, zszedł z bramy i biegnął ile zdążył do sali. Tu, podnosił trupa każdego, oglądał z trwogą — drzał cały, a gdy nie znalazł żony ni córę, ukląkł nad ciałem kapelana, gorące wznosząc modły.

— »Mospanie dzięki Bogu«, rzekł Cześniak stojąc przy Staroście: »Victoria! Teraz panowie bracia dalej do roboty, może w którym ciele duszę wskrzeszem.« I podniósł głowę skrwawioną kapelana, a dotykając szeroką dłonią do serca, po chwili wykrzyknął radośnie: »żyje! żyje! dawajcie wina.« A z pełnego puharu wylawszy część na rękę — resztę w usta mu wlewał. Jakby ze snu głębokiego zbudzony, roztworzył oczy omglane: małowany Cześniak całuje go, ścisła, a Starosta pyta: »Cdziez moja żona i dziewczyna?« Kapelan słabym odpowiada głosem: »Didko je uniósł.« Starzec porywa za rękę Cześniaka i ciągnąc do ogrodu szybkim postępuje krokiem!

Ida gęstym szpalcerem lipowym — stają nad jeziorem, ale kładki już nie było: Starosta klaska w dłonie, i pokrzyka: po drugiej stronie staje uzbrojony Didko — rzuca deskę, a gdy dwaj starcy przeszli po niej — Didko całuje kolana swojego pana: Starosta zrozumiał wszystko, ścisła mu głowę, całuje w czoło, i łzami je rosi.

— »Panie bracie! to mój wychowanek, on ocalił moje skarby najdroższe.«

— »Mospanie wart uściśnienia szlacheckiej ręki, a ja go o małym nie zdusił.«

Jadwiga, wybiegła na powitanie ojca, gdy Brygida wspierając na ramieniu Staroście szła zwołana: starzec zaniósł się do głośniego płaczu, całował na przemiany to małżonkę, to córkę. Wtedy Didko wyniósł szkatułę — a Starosta uradowany wyrzekł: »O wszystkich mój syn pamiętał.«

W tydzień w tym samym dworze odbyły się zaręczyny Jadwigi z chorażycem; ale ślub dla żaloby odłożonym na rok został: kapelan poświęcił pierścienie z napisem:

*»Serce moje i twoje, Boże połącz oboje.«**)

A Cześniak wznosił puhar za pomyślność kochającej się pary.

Didko już nie był uważany jako dworzanie. Starosta zawsze nazywał go synem — siadał do stołu razem jakoby krewniak najbliższy. Później w chorobie blisko zgonu, zeznał przed Starostą, że wiedział wcześniej o napadzie hajdamaków; że umyślnie zachodził na ich schadzki, aby wszystko wyrozumiał, i znalazł środki ocalenia; że kiedy ostatniej nocy dowiedział się o napadzie i chciał go wstrzymać wystawiając zjazd gości wielki i przedsięwzięte środki obrony: nie mogąc nic dokazać, wskoczył przez fosę i schwytyany przez Cześniaka, mało życia nie stracił. Nie wiedział w owczas, że kozacy nadworni są w znowie; lecz gdy się zbliżył do nich, zrozumiał iż czekają chwili tylko do napadu. Nie miał więc czasu, bo hajdamaki były pod fosą: poskoczył przede do sali uratował co zdołał, wprowadziwszy do kryjówki, którą sam Starosta na wszelki przypadek za ochronę uważał.

Powalony teraz chorobą — zbłądził na licu — oczy błyszczące dawniej, zamgliły się całe: otaczały jego łóżko Starościna, Jadwiga i Brygida, które nie miały już wstępu do jego oblicza, nazywając go zbawcą i bratem. — Cześniak gładził włosy, darł czuprynę, był to znak jego cierpienia duszy. Kapelan nie używając retorycznych figur, prostemi go słowy pisma Bożego pocieszał. — Didko w milczeniu przyjmował wszystko: przybył wreszcie spodziewany doktor; wziął za tętno, długo badał, i wyrzekł: »jest jeszcze ratunek.«

— »Kratuj go!« zawołał Starosta: »Ratuj!« zawołały Jadwiga i Brygida.

Po trzech dniach trwogi i niebezpieczeństwa, Didko orzeczwał; w miesiąc już zdrow i krzepak

*) Taki napis nosiły obrączki ślubne naszych ojców. Po śmierci małżonków, składano je w kościele.

dosiadł koni. Brygida zapomniała jego *»szkardnego oblicza«* jak dawniej mówiła, przyjmując młodzieńca zalecanki. — Kiedy załobę skończył Chorażyc, stanęły na ślubnym kobiercu dwie pary: Jadwiga z Chorażycem — Didko z Brygidą. Starosta przybrał go za syna, nadał mu herb swój, co długo potem powiewał na chorągwi nad bramą dworu.*)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 12. i obejmuje: 1) Rozprawa o kartoflach (Dokończenie). 2) Cokolwiek o dobrém chodowaniu krów. 3) Artykuł konkursowy i rozprawa o fabrykacy cukru z buraków i t. d. (Ciąg dalszy.) 4) Pistryjuszka pomłódz (hołowica). 5) Projekt założenia towarzystwa, mającego na celu zapobieganie zubożenia klas niższych. 6) Uwiadomienie.

Czytaliśmy w pismach publicznych, że w Uniwersytetach berlińskim i wrocławskim otwarte być mają Katedry języków sławiańskich. Głoszą teraz, że Rząd królewsko-pruski powołał chce na nie uczonego pana Szafarzyka z Pragi, i Dra. Cybulskiego, wykształconego na Uniwersytetach zagranicznych Poznańczyka. Ciekawa rzecz, czy p. Szafaryk przyjmie te ofiarowaną mu tak zaszczytną posadę, kiedy już dawniej podobnemu wezwaniu do Petersburga odmówił, nie chcąc odrywać się od tak ważnych dla Sławianowszczyzny swych prac literackich, które go w ojczystej Pradze wstrzymują. Także znany uczonej pan Waclaw Hanka, był do Petersburga na bibliotekarza wzywany; lecz przeniósł swą posadę w Pradze, nad najświetniejsze widoki za granicą.

S. J.

Wyszło dzieło nakładem i drukiem Teofila Glucksberga w Wilnie r. 1841: *Podole Wołyn Ukraina, obrazy miejsc i czasów*, przez Aleksandra Przechdzieckiego, tomów dwa, stronic 212. Tablica 1. Stronic 157. Tablica 4. Jest tu przy opisanu malowniczym wielu miejsc tych prowincyj, dotychczasowych wiele bardzo tak historycznych jakoteż miejscowych wiadomości; szkoda tylko, że dla uzupełnienia dzieła tego nie są dodane w rysunkach widoki tych miejsc, które pięknością położenia lub budowlą zachwycają; lubo autor uznaje potrzebę tychże, i zaszczytnie wspominał o wydanych przez pana Piotra Pillera *Widokach okolic Galicyi*. (Później więcej o dziele tém doniesiemy.)

A...

W Warszawie ma wychodzić jeszcze jedno nowe pismo czasowe, pod mianem *Nadgrisałina*. Będzie to *Pamiętnik Literaturze poświęcony*, który ma umieszczać: Rozprawy i badania filozoficzne i estetyczne, — jak najwięcej zrozumiałym dla ogółu sposobem skrócone. — Poetycje — Podania gminne i badania nad niemi — Obrazy historyczne obyczajów i wydarzeń — Badania historyczne i nankowe. — Powieści, szkice i t. p. — Opisy miejsc godnych uwagi. — Wiadomości biblijograficzne i artystyczne. — Krytykę — Rozmaitości. — Redaktorami będą: Roman Zmorski i Filleborn.

(Wyjątek z listu z Poznania dnia 17. lutego.) Pod prasą u nas są następujące książki: 1) Szafarzyka

Starożytności sławiańskie, pierwszy poszyt przekładu Boukowskiego, wydzie najdalej za dwa tygodnie. 2) *Statut litewski*, w 4ce z rycinami. 3) *Opis kaplicy królewskiej w Poznaniu*, przez Edw. Raczyńskiego, który posagi królów polskich Mieczysława i Bolesława już sprowadził i tak wykończył kaplicę w stylu czysto byzańtyńskim, iż tylko nie dostaje jeszcze ołtarza, który niebawem z Włoch ma nadejść. — Pisma nasze dające są pokupne, niektóre z pism peryjodycznych z dwóch lat ostatnich drugiej doczekały się edycyi; pisma literackie coraz bardziej się wznoszą, przemysłowe utrzymują się jak dawniej.

Zapowiedzenie odmian powietrza. Stuletni kalendarz Knauera, którego przepowiedzenia co do odmian powietrza teraźniejszej zimy powiększają części się zsięciły, w tym roku do połowy miesiąca czerwca mroz i śron zapowiada: »Marzec zaczyna się zimnem, a co wieczór codziennie odwilż będzie, dnia 8go i 9go będzie deszcz z śniegiem, a od 10go do 21go znowu zimno, od 22go aż do końca miesiąca będzie piękna pogoda. Wkwietniu aż do 16go trwać będą przymrozki, potem od 23go nastąpi łagodne powietrze, potem znowu śron i ostre powietrze aż do 29go, poczem piękna i przyjemna pogoda panować zacznie. Dnia 11go maja nastąpi znowu nocne przymrozki i aż do 20go pociągnie zimno, potem znowu ciepło, a dnia 30go mroz z śronem. Miesiąc czerwiec zaczyna się śronem, potem dnie posępne nastąpią, dnia 9go będzie śron, poczem ciepło, które aż do końca nieprzerwanie trwać będzie. Pan Knauer powinien był raczej od razu zimę aż do 15go sierpnia zapowiedzieć. Przeciwnie zaś Hilmar w Gotha utrzymuje, że już z dniem 20go marca najpiękniejszy przedwiosnek nastanie, i że pięknej wiosny, precudnego ciepłego lata i obfitej w plony jesieni spodziewać się mamy. Który też z tych dwóch zgadnie? Co do nas życzymy szczęścia temu ostatniemu.«

Tanatometer. Profesor Nasse w Bonie, znany zaszczycie w świecie lekarzom i kuracyi słabości psychicznych, przysłał rządowi pruskiemu tak nazwany *tanatometer*, za pomocą którego, jak utrzymuje tenże profesor, śmierć pozorną w letargu zostającego człowieka z pewnością poznać będzie można. Rzeczony *tanatometer* dano lekarzom w *Charité* pod rozpoznanie.

Kosztowna książka. Francuzki dziennik *La Mode* donosi: Widzieliśmy książkę, której sama oprawa więcej niż największe dzieło literackie kosztować może, a tą książką jest tylko spis prenumeracyjny. Każda stronica przyozdobiona jest rysunkiem i arabeskami w *aquareli*, miejsce zaś dla podpisującego się białem pozostawiono. Stronice takowe przeznaczone są dla wszystkich głów uhonorowanych i dla imion osób znakomych, które się podpisać zechcą. Idzie tu o dzieje Francyi w medalach, to znaczy o zbiór medalów, które także wizerunki królów francuzkich i krótki rys ich dziejów zawierać mają. Ludwik Filip najpierwszy podpisał się własnoręcznie, po nim idzie cała jego familija, również jak i król z królową belgijską. Ponieważ książka ta ma być złożona w król. biblijotece w Paryżu i stanowić najbogatszy zbiór ze wszystkich dotąd istniejących zbiorów autograficznych, przeto spodziewać się można, iż w niej najświetniejsze imiona arystokracji mieścić się będą.

Badania w Afryce północnej. Znany francuzki badacz natury i archeolog, pułkownik Bory de Saint-Vincent, przedsięwziął niedawno z kilką uczonymi z Bony wycieczkę wokolicę La-Calle, którą dokładnie zwidził. Temperatura tej okolicy, której mieszkańcy są mniej dzicy, niż plemiona Afryki północnej, jest łagodna i w całej prowincyi jednostajna, dla tego też i

*) Spisałem tu wlewnie zdarzenie prawdziwe — mam ja z ust samego Cześnika, pana Przyjemskiego, który miał w tym wypadku i sam udział i znak wszystkie osoby tu wspomniane. — Zmarł ten zacny starzec w 89 roku życia, zachowując do 60 lat sławną siłę swoją, *Przypisek autora.*

roślinność tamże bjnięjsza. Przy tej sposobności odkryto tamże różne nieznanne rośliny. Okolice ta ma obszerne lasy, w których najbardziej gorąco drzewo korkowe; jednakże nie zbywa także na wysokich ustawicznie zieleńiących się dębach i drzewach wawrzynowych, tudzież na jesionach i olszach. Najszczególniej zaś odznacza się pewien botanikom do tych czas nieznaną gatunek bardzo grubych dębów, których odzietki znacznej wysokości dochodząc, częstokroć 15 a nawet 17 stóp w obwodzie mają; z resztą liść ich podobny jest do liścia kasztana, z tą jedynie różnicą, iż na odwrotnej spodniej stronie jest biały. Żołędzia tych lasów żywią się niezliczone odrynie, które znowu z swej strony lwom i panterom za pastwę służą. Kilka z tych drapieżnych zwierząt nadzwyczajnej wielkości spostrzeżono w nocy, gdy w okół namiotu podróżnych się skradwały. Dzikie te zwierzęta są tu jeszcze podziś dzień tak liczne jak niegdy za czasów Rzymian, który złowiwszy je, jak wiadomo, do krwawych walk w cyrku używali. Krajowcy zapewniali, iż rzadko się zdarza, aby lwy i pantery, choć nawet zgłodniałe, na ludzi się rzucały; lecz niebezpieczna jest strzelać do nich: bo kto je zrani ofiarą paść musi. Są tu także znacznej wielkości i okropnej natury byjeny, żyjące razem z szakalami, których są odrodkiem. Następnie jest tu mnóstwo bystrowidzów, zbików, wyder, łasic, jeżozwierzów i jeleni. Mnogość ptaków wodnych, a szczególniej dzikich kaczek, jest nad podziw wielka. Między temi niektóre mają przepyszne piórze błękitnej i purpurowej barwy. Rzecz osobliwsza, iż mięso dzików tamtejszych, które do szczególnego gatunku należą się zdają, jest bardzo białe i ma smak mięsa indyka.

Orang - Utangi. Wychodząca w Lipsku *Allgemeine-Zeitung* zawiera ciekawy list z Padangu, na zachodniem wybrzeżu wyspy Sumatry, pod dnem 16go października r. p., w którym między innymi opisany jest wypadek następujący: »W czasie, gdy gościec wewnątrz kraju przez baczność naszych Djajan - Sykarów (żandarmów) od zbójców i złodziei tak są oczyszczone, że podróżny w tutejszych górach na łupieżstwo bynajmniej nie jest wystawiony, za to małpy, mianowicie Orang-Utangi, w różnych lasach i gajach dla ludzi niebezpieczni się stają. Prawda, że podróżni przeprawiający się przez góry Padangu, już nieraz się skarżyli, iż te bestyje ciskając na wędrowców idących sam na sam kamieniami, kokosowemi orzechami, gałęziami i t. p. częstokroć ich zraniły; atoli, aby małpy uprowadzić chciały dziewczynę, co się w dniach ostatnich w miesiącu wrzesniu na gościu między Bonjol i warownią Kochius istotnie wydarzyło, jest rzeczą prawie trudną do uwierzenia. Panna Schoch, czternasto-letnia córka kapitana piechoty, zamyśliła dnia 28go września o godzinie piątej z-rana wyjechać z warowni Kochins, gdzie jej ojciec jest komendantem załogi, do odległego o 4 mile miasta Bonjolu, i najeła sobie tak nazwane tutejsze *Tantu* (pewny rodzaj lektyki, która tak do siedzenia jak i leżenia z lekkiej bambusowej trzciny i sitowia jest urządzona), tudzież dwóch jawańskich Kulisów (tragrzy), którzy są z natury lekkliwi ludzic. Gdy panna Schoch odbyła tą sposobnością większą połowę drogi do Bonjolu i zbliżyła się do gaju, przez który wiodła ścieżka, pojawiło się niespodzianie kilka Orang-Utanów, które z wysokich drzew tak mocno ciskały na podróżnych kijami i kamieniami, iż się lektyka połamała i panna Schoch w głowę ranioną została. Nareszcie gdy Orang-Utangi uzbrojone kijami z drzew się spuszczać

zaczęły, Kulisowie nie mający przy sobie nic, prócz małych nożów, zostawivszy dziewczynę, ucieczką się ratowali. Tymczasem ilość małp zwabionych jej krzykiem, pomażała się coraz bardziej, a pięciu lub sześciu męskiej płci Orang-Utanów, chociaż się im dziewczyna mocno irzcinał bambusową bronitą, rozbroiło ją i porwawszy przemocą, najpród ją w krzaki a później na drzewo w gniazdo małpie zaniósł. W tém miejscu Orang-Utangi zaczęły się jej przymilać, dawać orzechy kokosowe, zlizywać krew z czoła, a nawet serdecznie ścisnąć jej ramiona i nogi. Stowem nie robiły jej żadnej krzywdy, wyjąwszy to, iż usiłowały ją jeszcze wyżej wyciągnąć na drzewo; lecz ona temu przeszkodziła, aż pokąd małpy same między sobą o zdobyc się nie poważniły. Tymczasem na krzyk Kulisów zbiegli się ludzie, a odkrywszy miejsce przybytku o pomoc wołającej dziewczyny, wydobyli ją z niewoli, w której niemal przez całą godzinę została. W skutek tego, odbywa się teraz prawie codziennie w tutejszych górach polowanie na małpy. Lecz to zatrudnienie jest bardzo przykre i niezdrowe; gdyż najrozmaitsze gości, ktorými postrzelone małpy wyrzucić się starają swoją boleść, trwogę, lekkliwość i prośbę o przebaczenie, uczeplivszy się jedną ręką gałęzi a drugą tuląc do siebie swoje dzieci, obudzają litość nawet w takich myśliwcach, którzy jako żołnierze nie w jednej bitwie walczyli.»

Nieustraszonosci admirała de Ruyter. Pewien admirał angielski zaprosił jednego razu na swój okręt na śniadanie sławnego holenderskiego admirała de Ruyter, który nieraz w zwyciężonych walkach śmiało stawiał mu czoło. Dla uczczenia godnie tego wielkiego przeciwnika, gdy wstąpił na linijowy okręt o osmdziesięciu działach, kazał komendant, czego jednakże gość nie spostrzegł, z wszystkich osmdziesięciu dział razem dać ognia. Na ten huk niespodziany, przyzwyczajony do grzmotu dział bohater, wzdrygnął się cokolwiek i na krok odskoczył. Anglik rozczmiał się na całe gardło i niewczesnym żartem znaną odwagę Holenderczyka w wątpliwym podał. Gość z innych względów bardzo łagodny, utulił swą dotkliwość, i tylko uśmiechem odpowiedział; jednakże w duszy swej postanowił angielskiego admirała przekonać naocnie o swej odwadze i za obrazę swego admirałskiego honoru pomścić się na nim w sposób, który jest nazbyt okropny, aby go usprawiedliwić i z skromnością jego pogodzić można. Gdy podczas śniadania przyniesiono do stołu fajki, zrywa się de Ruyter z swego miejsca, bierze w prawą rękę stojącą na stole świecę, a lewą ujmując za ramię admirała, schodzi z nim do prochowni, tam w otwartej beczce z prochem stawia świecę, i zapalivszy przy niej swą fajkę, rzecze z największą spokojnością do swego z przestrachu strętwiałego gospodarza: »No kolego, wprzód powątpiewałeś o mej odwadze, zapaliłeś sobie tak jak ja fajkę!« Gdy rozważny Anglik nie usłuchał tego wezwania, admirał de Ruyter spojrzawszy nań wzrokiem tryjmfującym, wyjął świecę z beczki, zaniósł ją na dawne miejsce i pożegnawszy się z nim, odszedł.

S p r o s t o w a n i e :

W Nrze. 12. »Rozmaitości« na stron. 97., w przedziałce pierwszej, w wierszu 30. z dołu, po słowach: *podróży*, dodaj: roku 1825.— Na str. zaś 98., w przedziałce 2giej, w wierszu 13. z góry, zamiast: *ale oraz najwiedoręczniejszy*, czytaj: *i wszelkie pojęcie przechodzący*.—